

grudnia, to znaczy w dniu rzekomego wyjazdu zaginionych Ziółkowskich do Złoczowa, sprzedano tutaj trzynaście biletów drugiej klasy. Musimy więc przedewszystkiem stwierdzić, ile takich biletów oddano w tym dniu w Złoczowie przy wysiadaniu. W dalszym ciągu oglądnijmy się za owemi dwoma paniami w żałobie, a później — co Pan Bóg da! Naturalnie pójdę też do prokuratora, a żeby dowiedzieć się, jakim materiałem on rozporządza. Spodziewam się, iż wprowadzimy sprawę na właściwe tory. Krewne doktora odnaleźć muszę żywe lub umarłe!

— Przypuszczasz więc kolego, iż zostały zamordowane? — spytał zdziwiony młodszy agent.

— Tego nie powiedziałem, ale wszystko jest możliwe. Dobry agent policyjny powinien być przygotowany na najgorsze ewentualności.

Tutaj zaczął Karabiński opowiadać wspomnienia wielu śledztw, które przeprowadził w czasie swojej dwudziestoletniej służby, a były one tak zajmujące, iż ani się spostrzegli, gdy konduktor tuż pod ich wozem zawołał: Złoczów!

Karabiński wyskoczył pierwszy i udał się do kancelarii naczelnika stacji. Po kilku chwilach powrócił do bufetu, gdzie oczekiwał nań Trusz. Obaj spożyli małą przekąskę i zamieniwszy kilka słów z gospodarzem, bardzo gadatliwym człowiekiem, udali się do miasta. Karabiński szedł w milczeniu, zamyślony.

— Początek niezły! — przemówił wreszcie — dowiedziałem się, iż oddano tutaj jedenaście biletów drugiej klasy z datą 15. grudnia, kupionych we Lwowie na Podzameczu. Kufry nadeszły tego samego dnia i z polecenia sądu są w przechowaniu na stacji. Dwa bilety, czy też dwie osoby nie dojechały do miejsca przeznaczenia. Nie wyjechały więc, albo wcale ze Lwowa, albo zginęły w drodze. Ale kto są do diabła te dwie kobiety w żałobie, które tego dnia tutaj przyjechały? — mówił Karabiński, krocząc szybko naprzód.

— Trzeba będzie pytać — zauważył Trusz.

— Ale kogo? Angielski Sherlock Holmes i amerykański Nick Carter umieli czytać w twarzach! My nie posiadamy tych zdolności... ani ja, ani krakowski Karcz... — monologował Karabiński — my, zwykli śmiertelnicy, musimy żmudnie każdy szczegół wydobywać. Nie damy się jednak zjeść w kaszy, musimy mieć oczy i uszy otwarte!

Tak rozmawiając weszli do miasta. Po krótkim obiedzie w restauracji Akselrada rozeszli się.

Okolo godziny dziesiątej wieczór siedział Karabiński w ciepłym pokoju hotelu „pod gruszką“ i przeglądał swoje notatki.

Pracę tę przerwało wejście Trusza.

— No i cóż kolego? Macie jakie nowiny? — zapytał niecierpliwie wchodzącego.

— Dzięki Bogu wszystko w porządku! Wybadałem cały personal kolejowy, wypytałem wszystkich fikaków i na podstawie zebranych informacji udałem się szosą w kierunku Zborowa. W trzeciej karczmie za miastem złapałem ślad owych pań w żałobie, które dnia 15. grudnia przyjechały koleją do Złoczowa, a stamtąd końmi dalej.

— Wyśmienicie — doskonale się wam udało! Nazwiska tych kobiet macie? — pytał nerwowo Karabiński.

— Naturalnie! To przedewszystkiem. Są to niejakie Rumijewskie, matka i córka. Chodzą w żałobie po stryju, a przyjechały do znajomych. Opowiedział mi to wszystko karczmarz. Zna on wszystkie okoliczne dwory na wylot, bo siedzi w tej karczmie prawie ćwierć wieku.

— Pierwszy krok udał się. Teraz chodźmy spać... jutro pogadam z panem prokuratorem! — zakonkludował Karabiński.

Długo w noc gawędzili obaj agenci, dzielili się swemi spostrzeżeniami i informacjami, nagromadzonemi co do osób, których losy zostały złożone w ich ręce.

U prokuratora.

Prokurator Karowicz, znany powszechnie z energii, bardzo gorliwie zajął się sprawą zniknięcia Ziółkowskich. Właśnie rozczytywał się w relacjach żandarmeryi, gdy doręczono mu telegram policyi z zawiadomieniem, iż agenci Karabiński i Trusz udali się do Złoczowa.

Karowicz zadzwonił na woźnego i kazał prosić sędziego śledczego.

Wchodzącemu podał depeszę policyjną.

— Policya znowu pracuje na opak. Zamiast aresztować Ziółkowskiego nasyła nam agentów — przemówił.

— Prawdopodobnie odprawimy ich z kwitkiem — zauważył sucho sędzia.

Dalsze uwagi przerwał woźny, który podał prokuratorowi bilet wizytowy. Prokurator odczytał głośno nazwisko: „Stanisław Karabiński, agent policyi“.

— O wilku mowa, a wilk za drzwiami! Poproś! — wyrzekł i popatrzył znacząco na sędziego.



Panie Karabiński — przemówił dyrektor — posłałem po pana w bardzo ważnej sprawie.

Karabiński wszedł pewnym krokiem i rzekł: — Jestem Karabiński!

— Wiem o tem — odparł prokurator. — Dyrekcja policyi wydelegowała pana i drugiego agenta w sprawie Ziółkowskich. Gorliwość policyi jest bardzo chwalebna, ale w tym wypadku zupełnie zbyteczna.

— Pan prokurator pozwoli, iż przerwę. Ja sądzę, że pomoc nasza nadeszła w samą porę i powstrzyma sprawiedliwość od pomyłek i fałszywych zarządzeń!

— Jak pan to rozumie? — spytał prokurator nieco urażony. Dotychczas nie uczyniliśmy ani jednego fałszywego kroku. Zarządziliśmy przyaresztowanie doktora Ziółkowskiego, który zbiegł...

— I który jest zupełnie niewinny! — dodał Karabiński.

— Chyba w pańskich oczach — zauważył sędzia. — Pozwól pan, iż zapytam: „Komu mogło zależeć na zniknięciu tych kobiet?“ Odpowiedź musi brzmieć: „Temu, kto zagarnie pozostały majątek!“ Tym zaś w danym wypadku jest tylko dr. Ziółkowski. W myśl więc zasady *hic fecit, cui prodest* wniosek bardzo prosty: Doktor Ziółkowski sprzątnął swoją bratową i bratanek!

— Tak! Tak! panie Karabiński. Wyjechały

zdrowe ze Lwowa, przyjechały tutaj i zginęły po drodze do swojej posiadłości! — dorzucił prokurator.

— Daruje pan, one wcale tutaj nie dojechały! — odparł agent.

— Stwierdził to wszak pański kolega i poświadczyła służba kolejowa — zauważył sędzia.

— Niestety! Kolega mój dał się uwieść pierwszym pogłoskom i dochodzenie przeprowadził niedokładnie. Ja przekonałem się, iż dnia 15. grudnia przyjechały tutaj dwie damy w żałobie, nie były to jednak panie Ziółkowskie, lecz panie Rumijewskie.

— I czegoż to dowodzi? — spytał prokurator.

— To dowodzi, iż ofiary przypuszczalnej zbrodni zostały we Lwowie!

— W takim razie — pytał dalej prokurator — nie rozumiem, dlaczego doktor Ziółkowski zbiegł?

— Wcale nie zbiegł — powiedział Karabiński — przyjechał ze mną i jest już u siebie w wsi. Był we Lwowie u mnie i prosił o pomoc.

— Są to szczegóły zupełnie nowe. O ile sądzę — mówił dalej prokurator — pan wierzyysz, iż dr. Ziółkowski jest niewinny.

— Tak jest. Jestem o tem najmocniej przeświadczony i dołożę wszelkich starań, aby panów o tem przekonać, a temu biednemu człowiekowi spokój przywrócić. Jeżeli panowie zechcą mi pozwolić działać, proszę o pozostawienie dra Ziółkowskiego w spokoju na przeciąg jednego tygodnia. Ten czas wystarczy mi do wykrycia prawdy.

— Zgoda! Ale pamiętaj pan, jaką bierzesz odpowiedzialność — powiedział prokurator.

— Panie prokuratorze! Zwłoka udzielona mi nie przeszkodzi sprawiedliwości do wykrycia prawdy i ukarania winnych.

Pierwszy atak.

— Jadę do Lwowa! — rzekł na-
zajutrz Karabiński do Trusza. —
Wy zostaniecie tutaj. Spacerujcie
na kolej, słuchajcie, co ludzie mówią
o naszej sprawie i czekajcie na dal-
sze wskazówki.

We Lwowie Karabiński zdał krótką relację swemu szefowi a następnie zbadał dokładnie wszelkie zapiski i akta policyjne, odnoszące się do osoby hrabiego Grzymskiego. Z aktów tych dowiedział się Karabiński, że hr. Grzymski jest stanu wolnego i że większą część roku spędzał zwyczajnie we Francji i Włoszech. Nieodstępny jego towarzyszem był kamerdyner Łukasz Wiernicki, człowiek nieposzlakowany. Hrabia Grzymski posiadał pałac we Lwowie i kompleks rozległych dóbr na Podolu rosyjskiem. Obracał się w najlepszym towarzystwie, był częstym gościem w kasynie t. zw. końskim i lubił wesołe zabawy. Serdeczniejszych stosunków z nikim nie utrzymywał.

W przeciągu dnia dowiedział się dalej agent, iż Grzymski wybiera się w podróż na Riviére. Służba kasynowa poinformowała go, iż bywalcy kasynowi opowiadają między sobą, że hrabia Grzymski wlaź w jakąś awanturę miłosną, stał się bowiem niezwykle małomówny i poważny.

Karabiński nie miał wiele czasu do stracenia, postanowił jednym zamachem zagadkę rozwiązać. W porze obiadowej, gdy hrabia bawił w kasynie, zadzwonił do bramy pałacu.

Do poczekalni, do której portyer wprowadził gościa, wszedł mężczyzna liczący lat około 35, sympatycznego wyglądu, z twarzą ogoloną. Przelotnie spojrzał na przybysza i zapytał:

— Czem mogę służyć?

Agent skłonił się i patrząc badawczo w oczy pytającego, rzekł:

— W sprawie bardzo ważnej prosiłbym pana o wskazanie mi obecnego miejsca pobytu rodziny ś. p. Dezyderego Ziółkowskiego.

Zainterpelowany w tak obcesowy sposób Łukasz Wiernicki zbladł i nie uważając, iż przybysz nie podał mu nawet swego nazwiska, wykrztusił szybko:

(Ciąg dalszy nastąpi.)